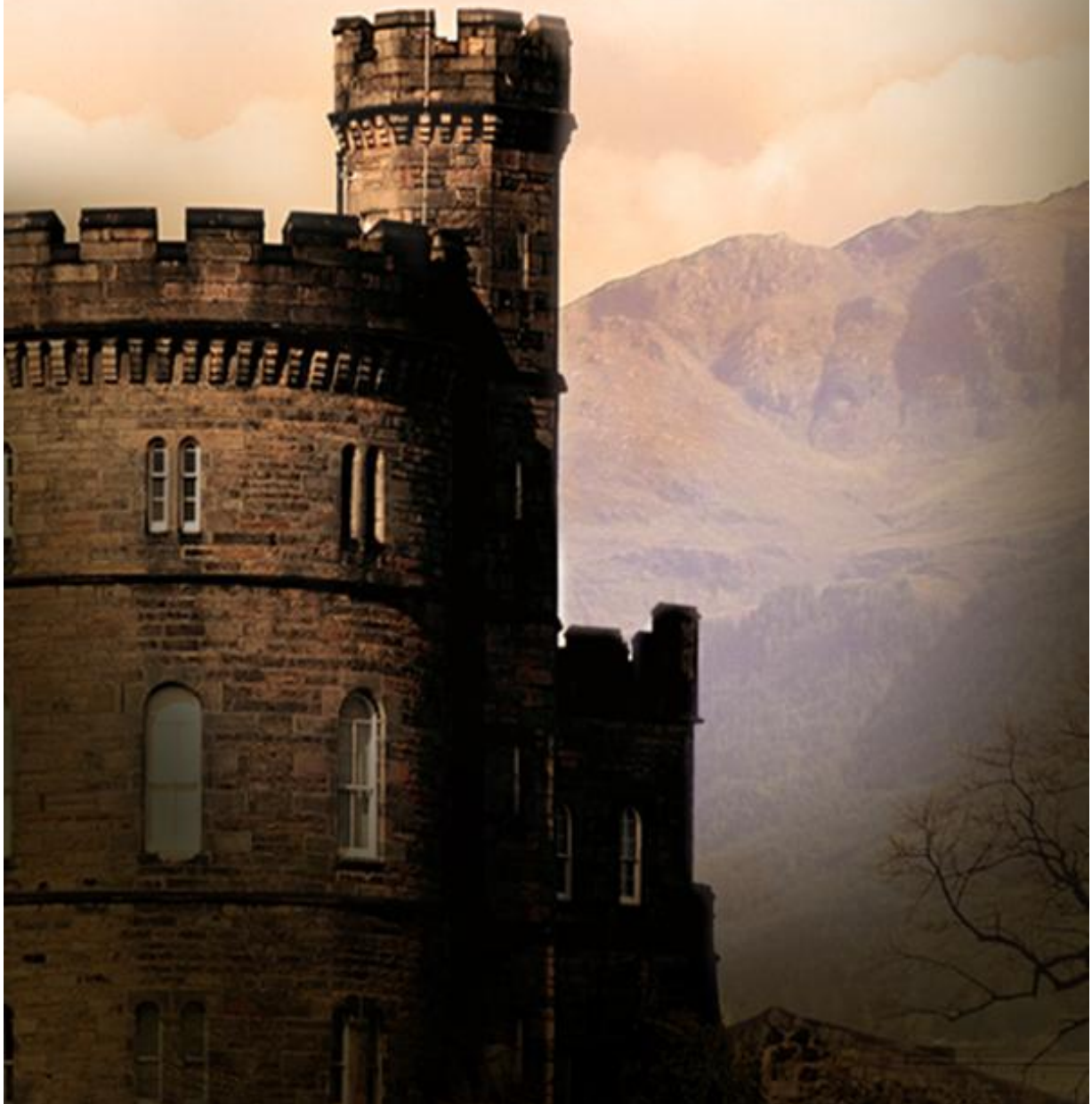


WASHINGTON IRVING  
**UPIORNY NARZECZONY**



**Washington Irving**

# **Upiorny narzeczony**

**przełożyła Aldona Szpakowska**

.....

**Fundacja FESTINALENTE**

Na szczycie jednego ze wzgórz Odenwaldu, dzikiej, romantycznej krainy, w górnych Niemczech, znajdującej się niedaleko miejsca, gdzie Men łączy się z Renem, stał przed wielu, wielu laty zamek barona von Landshort. Obecnie obrócił się już w ruinę, schowany – pochowany nieledwie – wśród buków i ciemnych świerków. Jednakże ponad drzewami wciąż jeszcze widzieć można starą wieżę, a ta podobnie jak dawny właściciel, o którym wspominamy, wysoko nosi głowę i z góry spogląda na okolice.

Baron był suchą gałęzią wielkiego rodu Katzenellenbogen (czyli Kociłokieć – nazwisko moźnej w dawnych czasach rodziny, zamieszkującej te okolice. Imię to – jak nam powiedziano – nadane zostało w komplementcie jednej damie, która nie miała sobie równych w owej rodzinie, sławionej z powodu pięknych ramion) i odziedziczył resztki majątku oraz całą dumę swych pradziadów. Choć wojownicze usposobienie jego przodków uszczupliło bardzo rodzinne dobra, baron nieustannie zabiegał o to, by zachować pozory dawnej wspaniałości.

Czasy były spokojne i germańscy wielmoże porzucili na ogół swe niewygodne, stare zamczyska, przycupnięte jak gniazda orle wśród gór, i budowali sobie wygodniejsze rezydencje w dolinach, ale baron pozostał zamknięty dumnie w swej forteczce, z dziedziczną zaciekłością pielęgnując stare rodowe waśnie – żył w niezgodzie z niektórymi spośród najbliższych sąsiadów z powodu sporów, jakie toczyli między sobą ich pradziadowie.

Baron miał tylko jedno dziecko – córkę; ale natura, kiedy daje tylko jedno dziecko, wynagradza to zawsze, czyniąc je fenomenem. I tak też było z córką barona. Wszystkie niańki, kумы i kuzynki zapewniały barona, że w całych Niemczech nie znajdzie dziewczyny równie urodziwej. No, a kto mógł wiedzieć lepiej niż one? Co więcej, wychowywały ją z wielkim staraniem dwie ciotki, panny, które kiedyś spędziły kilka lat życia na jednym z małych dworów niemieckich i tam posiadały arkana wszelkiej wiedzy, których znajomość niezbędną była dla młodej damy. Pod ich instrukcjami cudownie rozwinęła swe talenty. Nim doszła do lat osiemnastu, umiała haftować nad podziw i przedstawiała na obiciach całe historie świętych, nadając taką siłę ekspresji ich obliczom, że wyglądali jak czyścicowe dusze. Umiała czytać bez wielkich trudności i przesylabizowała kilka legend kościelnych i prawie wszystkie rycerskie cuda *Heldenbuchu* [*Heldenbuch* – księga bohaterów. Książka ta, wydrukowana w Niemczech w końcu XV wieku, opisuje czyny niektórych bohaterów – objaśnienie autora].

. Poczyniła nawet godne uwagi postępy w pisaniu: potrafiła podpisać się, nie opuszczając ani jednej literki, a przy tam tak wyraźnie, że jej ciotki nie potrzebowały okularów, by odczytać ten podpis. Celowała w tworzeniu eleganckich, nieprzydatnych na nic kobiecych cacek wszelkiego rodzaju; biegle tańczyła najbardziej skomplikowane tańce współczesne; grała na harfie i gitarze; wiele melodii znała na pamięć i wszystkie tkliwe ballady minneliederów.

Poza tym jej ciotki – jako że za młodych lat wielkie z nich były kokietki i zalotnice – nadawały się wybornie na stróżów niewinności i na surowych cenzorów postępowania bratanicy; nie ma bowiem opiekunki tak nieustępliwie przezornej, tak nieubłaganie przyzwoitej jak kokietka.

Rzadko kiedy spuszczały ją z oka; nigdy nie pozwalały wydalać się poza granice ziem zamkowych, chyba że pod dobrą opieką, a raczej pod czujną strażą. Musiała nieustannie wysłuchiwać peror na temat przyzwoitości i bezwzględного posłuchu, a jeśli chodzi o mężczyzn... ach, nauczono ją trzymać się od nich w takim oddaleniu, odnosić się z taką nieufnością, że – jeśli nie otrzymała właściwego rozkazu – nie rzuciłaby okiem na najprzystojniejszego kawalera... o nie, choćby nawet konał u jej stóp.

Dobre skutki takiego systemu były widoczne. Panna mogła służyć za wzór uległości i poprawności. Podczas gdy inne trwoniły swe wdzięki w blasku światowego życia i każda dłoń mogła je zerwać i odrzucić, ona zakwitała barwami nieśmiałej, świeżej

kobiecości pod opieką tych czystych starych panien niby pączek róży wśród strzegących go cierni. Ciotki spoglądały na nią z dumą i radosnym uniesieniem, chełpiąc się, że chociażby wszystkie panny całego świata miały zejść na złą drogę, to jednak – Bogu dzięki! – nic takiego nie może się nigdy zdarzyć dziedziczce Katzenellenbogen.

Choć baron von Landshort niebogato wyposażony był w dzieci, rodziny jego bynajmniej nie można zwać małą, gdyż Opatrzność hojnie obdarzyła go ubogimi krewnymi. Każdy z nich z osobna i wszyscy razem odznaczali się czułym usposobieniem, właściwym ubogim krewnym na całym świecie. Niezwykle byli przywiązani do barona i korzystali z każdej nadarzającej się okazji, by przybywać tu całymi rojami i ożywiać zamczysko. Zacni ci ludzie celebrowali wszelkie uroczystości rodzinne (na koszt barona), a kiedy wezbrała w nich ochota i wesele, oświadczali, że na całym świecie nie ma nic rozkoszniejszego nad te rodzinne spotkania – festyny serca.

Baron, choć niepozornej postaci, wielki był duszą, a ta pęczniała z zadowolenia, gdy czuł, że jest największym człowiekiem w całym otaczającym go światku. Z zamiłowaniem opowiadał długie historie o dawnych rycerzach, których ciemne portrety ponuro patrzyły ze ścian, i nigdzie nie znajdowały słuchaczy równie chętnych jak ci, co jedli u jego stołu. Interesowały go niezmiennie wszelkie dziwy i cuda i świecie wierzył w nadprzyrodzone historie, jakie wiążą się z każdą doliną i każdym pagórkem w Niemczech.

Lecz wiara jego gości przewyższała nawet jego własną: każdej cudownej opowieści słuchali z szeroko otwartymi oczami i ustami, a zdumiewali się zawsze – nawet gdy ją powtarzał po raz setny.

Tak oto żył baron von Landshort, wyrocznia u swego stołu, absolutny monarcha na swym małym terytorium, szczęśliwy przede wszystkim dlatego, iż żywił przekonanie, że jest najmądrszym człowiekiem swoich czasów.

W chwili gdy rozpoczyna się moja opowieść, na zamku odbywa się wielkie zgromadzenie rodzinne z powodu wydarzenia najwyższej wagi. Oto przyjąć mają przyszłego męża córki barona. Pomiedzy baronem a starym wielmożą z Bawarii toczyły się negocjacje, by przez małżeństwo ich dzieci połączyć splendor obu domów. Z wielką skrupulatnością przeprowadzono wstępne kroki. Młodzi ludzie zostali zaręczeni, nie widząc się wzajem, wyznaczono termin ceremonii ślubnej, odwołano w tym celu z wojska młodego hrabiego von Altenburg i obecnie był ono już w drodze do zamku barona, by połączyć się ze swą oblubienicą. Z Wartburga, gdzie go coś zatrzymało, przysłał wiadomość, zapowiadając dzień i prawdopodobną godzinę swego przyjazdu.

W zamku czyniono gorączkowe przygotowania, aby godnie go przyjąć. Piękną narzeczoną wystrojono z niezwykłym staraniem. Dwie ciotki czuwały nad jej toaletą i cały poranek kłóciły się o każdy szczegół jej stroju. Panna korzystała z tych sprzeczek, aby iść za własnym gustem, a na szczęście miała dobry gust.

Bardziej uroczej oblubienicy nie mógłby wymarzyć sobie narzeczony. Wzruszenie wywołane oczekiwaniem potęgowało jeszcze blask jej urody.

Rumieniec oblewający jej twarz i szyję, łagodne falowanie piersi, oczy zatopione w marzeniach – wszystko to zdradzało słodki zamęt panujący w jej serduszkach. Ciotki nieustannie krążyły wokół niej, gdyż ciotki - panny interesują się zawsze głęboko sprawami tej natury. Nie szczędziły jej światłych rad, jak ma się sprawować, co mówić, jak witać oczekiwanego kochanka.

Baron był niemniej żywo zajęty przygotowaniem. Prawdę mówiąc, nie miał właściwie nic do roboty, ale z natury był ruchliwym i hałaśliwym człowiekiem i nie mógł pozostawać bezczynny, gdy wszyscy wokół uwijali się w pośpiechu.

Z wyrazem troski na obliczu przemierzał cały zamek od góry do dołu i z dołu do góry; nieustannie odrywał swe sługi od pracy, upominając ich, by pilnie pracowali; brzęczał w każdym hallu i w każdej kompanii, tak pracowicie bezczynny i tak naprzykrzający się jak błękitna mucha w ciepły, letni dzień.

Tymczasem zabito już tuczego cielca; po lesie niosły się nawoływania myśliwych; kuchnię wypełniała obfitość wspaniałego jadła; z piwnic wytoczono całe oceany wina reńskiego i importowanego; nawet na wielką bekę z Heidelbergu [*Beka z Heidelbergu* – w jednej z piwnic zrujnowanego zamku heidelberskiego znajduje się ogromna beczka o pojemności 221276



litrow – objaśnienie autora] nałożono kontrybucję. Wszystko przygotowano, aby przyjąć dostojną osobę w duchu prawdziwej niemieckiej gościnności – ale osoba ta opóźniała swe przybycie.

Godzina mijała za godziną. Słońce, które od niedawna lało strumień skośnych promieni na bujny las Odenwaldu, przyświecało już tylko zza szczytów gór. Baron wspiał się na najwyższą wieżę i wyteżył wzrok w nadziei, że dojrzy w oddali hrabiego i jego orszak. Zdawało mu się w pewnej chwili, że ich widzi; z doliny przyplłynął dźwięk rogów i zbudził echa w górach. Daleko, w dole ujrzał grupę konnych, powoli nadjeżdżających drogą, ale kiedy zbliżyli się niemal do stóp góry, nagle skręcili w innym kierunku, Ostatni słoneczny promień zgasł... w półmroku latały nietoperze... droga ciemniała coraz bardziej i nie było na niej widać nikogo, tylko czasem jakiś wieśniak włókł się ciężko do domu po pracy.

Gdy w starym zamczysku Landshort panował niepokój wyczekiwania, w innej części Odenwaldu działo się coś niezmiernie interesującego. Młody hrabia von Altenburg odbywał swą podróż rozsądnym, żółtym krokiem, jakim mężczyzna śpieszy ku małżeństwu, kiedy przyjaciele zdejmują mu z głowy cały kłopot i ryzyko zalotów, a na końcu jego podróży oblubienica czeka na niego tak pewnie jak obiad. W Wartburgu spotkał wracającego z wojska towarzysza broni, z którym wspólnie walczył na froncie, młodego Hermana von Starkenfaust, jednego z najdzielniejszych i najsilniejszych rycerzy niemieckich. Zamek jego ojca

leżał niedaleko starej fortecy Landshort, jednakże obie rodziny nie znały się i żywiły do siebie wrogie uczucia z powodu odziedziczonej waśni rodowej.

W radosnej chwili spotkania młodzieńcy opowiadali sobie wszystkie swoje przygody, a hrabia rozwodził się na temat zamierzonego małżeństwa z młodą damą, której nigdy nie widział, ale o której urodzie i wdziękach słyszał porywające relacje.

Ponieważ przyjaciele dążyli w tym samym kierunku, zgodzili się razem odbyć resztę podróży i – by uniknąć pośpiechu – o wczesnej godzinie wyruszyli z Wartburga. Hrabia polecił przedtem swej drużynie, aby udała się za nim i dogoniła go.

Skracali sobie czas podróży wspomnieniami przygód i wydarzeń wojennych, ale hrabia bywał niekiedy nudnawy, powtarzając to, co słyszał o wdziękach swej oblubienicy i marząc o szczęściu, jakiego z nią zazna.

Tak więc znaleźli się wśród wzgórz Odenwaldu; przejeżdżali jednym z najbardziej odludnych i najgęściej zalesionych wąwozów. Wiadomo powszechnie, że jak w zamkach germańskich straszyły duchy, tak w lasach grasowali zbójcy, a w owych czasach zbójców była niezmierna obfitość, gdyż hordy rozpuszczonych z wojska żołnierzy wałęsały się po kraju. Nie było więc w tym nic nadzwyczajnego, że z leśnych ostepów wypadła banda owych włóczęgów i rzuciła się na naszych kawalerów. Bronili się mężnie, ale ulegliby w nierównej walce, gdyby drużyna hrabiego nie przybyła na pomoc. Na ich widok zbójcy

pierzchli, zadawszy jednak wprzódę śmiertelną ranę hrabiemu. Z największą ostrożnością przewieziono go do Wartburga i z sąsiedniego klasztoru wezwano braciszka, który słynął ze sztuki leczenia zarówno ciała, jak ducha, lecz ta pierwsza umiejętność nie zdała się na nic, gdyż chwile życia nieszczęsnego młodzieńca były już policzone.

Ostatkiem sił błagał przyjaciela, by natychmiast wyruszył do zamku Landshort i zawiadomił, że to śmierć uniemożliwiła mu dotrzymanie słowa i przybycie na spotkanie z oblubienicą. Ten nie najbardziej ognisty z kochanków był jednym z najśłowniejszych ludzi i z przejęciem nalegał, aby jak najspieszniej i najukładniej dopełniono tej misji.

–Dopóki to się nie stanie – rzekł – nie zasnę spokojnie w grobie.

Powtarzał te słowa ze szczególną powagą. W tych okolicznościach nie można było wahać się ani chwili. Starkenfaust starał się go uspokoić, zapewniał uroczyście, że wiernie wypełni jego życzenie i podał mu rękę na znak solennej obietnicy. Umierający uścisnął mu prawicę, przyjmując przyrzeczenie, ale potem znów popadł w delirium. Bredził coś o swej narzeczonej, zaręczynach, o danym słowie, kazał podać sobie konia, chcąc jechać do zamku w Landshort i wyobrażając sobie, że wskakuje na siodło, wyzionął ducha.

Starkenfaust westchnął ciężko i uronił żołnierską łzę nad niewczesnym zgonem towarzysza, a potem zadumał się nad niewdzięcznym zadaniem, jakie na siebie przyjął. Serce miał ciężkie i umysł zatroskany,

wypadło mu bowiem stawić się we wrogim domu jako gość nieproszony i mieć wesele jego mieszkańców straszliwą wiadomością. Ale jednocześnie budziła się w nim chęć zobaczenia słynnej piękności z rodu Katzenellenbogen, tak troskliwie ukrywanej przed światem. Był on bowiem wielbicielem płci nadobnej i w charakterze jego leżała przedsiębiorczość, jak również i odrobina ekscentryczności, z czego wypływało zamiłowanie do wielkich, osobliwych przygód.

Przed wyjazdem ułożył się z bractwem zakonnym co do uroczystości pogrzebowych przyjaciela. Miał on być pochowany w katedrze w Wartburgu, gdzie spoczywało już kilku jego wielkich przodków. Orszak hrabiego objął straż przy jego śmiertelnych szczątkach.

Czas już najwyższy powrócić do starożytnej rodziny Katzenellenbogen, która z wielką niecierpliwością wyglądała gościa, a z jeszcze większą obiady. Czas też najwyższy powrócić do naszego, zacnego barona, który – gdyśmy się z nim rozstawali – zażywał wieczornego chłodu na wieży zamkowej.

Noc już zapadła, gość się nie zjawił. Baron w rozpaczy zszedł z wieży. Niepodobna już było odkładać bankietu, przesuwanego wciąż z godziny na godzinę. Mięsiwa były już niemal spalone, kucharze padali z nóg, a domownicy wyglądali jak wygłodzona załoga obleżonej twierdzy. Baron więc, acz z niechęcią, wydał dyspozycje, by podano potrawy, nie czekając na gości. Wszyscy zgromadzili się już u stołu i rozpoczęto ucztę, kiedy odgłos rogu zza bramy obwieścił czyjeś przybycie. Odezwał się raz jeszcze, długo, przeciągle.

Zawtórowały mu echem podworcie starego zamczyska i odpowiedział strażnik z murów. Baron pośpieszył na spotkanie swemu przyszłemu zięciowi.

Spuszczono już most zwodzony; nieznajomy stał przed bramą. Był to wysoki, postawny młodzieniec na czarnym rumaku. Twarz miał bladą z wyrazem spokojnej melancholii i romantyczne, płonące oczy.

Dotknęło barona, że przybył tak skromnie, sam jeden. Przez chwilę urażona duma kazała mu uznać to za brak poszanowania dla uroczystego momentu i godności rodziny, z którą miał wejść w koligację. Uspokoił się jednak, gdy przyszło mu na myśl, że zapewne młodzieńcza niecierpliwość kazała mu popędzić konia i wyprzedzić swą drużynę.

– Przepraszam – rzekł nieznajomy – że o tak niewłaściwej porze...

Lecz baron zalał go potokiem dwornych słów powitania, bo – prawdę mówiąc – szczyił się i swą uprzejmością, i elokwencją. Parę razy młodzieniec usiłował mu przerwać, ale na próżno. Skłonił więc głowę i pozwolił jego wymowie płynąć bez przeszkód. Doszli do wewnętrznego dziedzińca zamkowego, nim baron skończył powitanie. Młodzieniec znowu chciał coś rzec, ale przeszkodziło mu pojawienie się orszaku kobiet, które prowadziły zarumienioną, opierającą się pannę młodą. Patrzył na nią przez chwilę jak urzeczony; zdawało się, że cała jego dusza wypłynęła w tym spojrzeniu i spoczęła na uroczej postaci.

Jedna z ciotek szepnęła jej coś na ucho, widać było, że oblubienica czyni wysiłek, by przemówić, nieśmiało

podniosła powieki błękitnych oczu, rzuciła krótkie, badawcze spojrzenie na nieznanego i natychmiast wbiła wzrok w ziemię. Nie powiedziała nic, ale słodki uśmiech wygiął jej wargi, świadcząc, że nie doznała zawodu. Niepodobna zresztą wyobrazić sobie, aby dziewczynie w czarownej, osiemnastej wiosnie życia, wyczekującej miłości i małżeństwa, mógł nie przypaść do serca tak piękny kawaler.

Późna pora przyjazdu gościa nie pozwoliła nawet na chwilę rozmowy. Baron z całą stanowczością odłożył do rana wszelkie szczegółowe wyjaśnienia i powiódł gościa na bankiet, który odbywał się w wielkiej sieni zamkowej.

Na ścianach wisiały szerniałe portrety bohaterskich antenatów barona oraz trofea zdobyte przez nich na wojnie i na łowach. Pocięte pancerze, popękane włócznie, podarte chorągwie widniały obok łupów leśnych wypraw. Spomiędzy kusz i toporów wojennych połyskiwały straszliwe szczęki wilka, kły dzika, a wprost nad głową młodego oblubieńca wychylała się para ogromnych rogów jelenich.

Nasz kawaler niewiele uwagi poświęcał towarzystwu i biesiadzie. Zaledwie pokosztował uczy; wydawał się całkowicie zatopiony w podziwianiu swej oblubienicy. Mówił do niej ściszym tonem, tak że słowa jego nie dobiegały do uszu sąsiadów. Język miłości bowiem nigdy nie bywa głośny. Ale czy jest na świecie dziewczyna lub kobieta o tak tępym słuchu, by nie doleciał do niej najcichszy szept kochanka? Zdawało się, że powaga i czułość zarazem bijące z jego

zachowania robiły ogromne wrażenie na młodej damie. Kiedy słuchała w głębokim skupieniu, rumieniec i bladość na przemian okrywały jej policzki.

Od czasu do czasu rzucała nieśmiało jakąś odpowiedź, a kiedy młodzieniec odrywał od niej wzrok, wtedy długo spod oka spoglądała mi jego romantyczną postać, wydając łagodne westchnienia cichego szczęścia. Widocznym było, że młoda para zakochała się w sobie bez pamięci. Ciotki – znające się doskonale na tajemnicach serca – orzekły, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

Bankiet przebiegał wesoło, a w każdym razie hucznie, gdyż wszyscy goście poszczycić się mogli ogromnym apetytem, jakim niezawodnie darzy lekka kiesa i górskie powietrze. Baron zabawiał obecnych swymi najlepszymi i najdłuższymi historyjkami, a nigdy przedtem nie udało mu się opowiedzieć ich tak dobrze i wywołać tak wielkiego wrażenia. Jeśli była to opowieść o czymś niezwykłym – słuchacze nie mieli z podziwu, a jeśli zabawna – śmiali się zawsze w odpowiednim miejscu. Baron co prawda, jak większość wielkich ludzi, był tak poważny i godny, że jeśli powiedział jakiś dowcip, to na pewno ciężki, choć i na to musiał wychylić puchar wspaniałego *hochmeinerja*. Jednak dowcip, nawet ciężki, ale wypowiedziany u własnego stołu, zakropiony pysznym, starym winem, ma siłę nieodpartą. Wiele doskonałych anegdot padło również z ust krewnych uboższych fortuną i polotem, lecz facecje te nie zniosłyby powtórzenia, chyba że w podobnej sytuacji. W uszka kobiet szeptano wiele chytrych

słówek, po których słuchaczki dławily się – od tłumionego śmiechu, a parę piosnek, jakie zaśpiewał, a raczej zaryczał, biedny, lecz wesoły kuzyn barona, zmusiło ciotki do skrycia twarzy za wachlarzem.

Osobliwy gość zachował wśród tej wesołej uczty szczególną jakąś powagę – zupełnie nie na miejscu. W miarę upływu godzin twarz jego przybierała wyraz coraz głębszego frasunku i choć to może się wydać dziwne, nawet żarty barona zdały się budzić w nim tylko melancholię. Chwilami pogrążał się w zadumie, chwilami znów niespokojnie błędził wokół spojrzeniem, które zdradzało jakąś troskę. Jego rozmowy z narzeczoną stawały się coraz poważniejsze i coraz bardziej tajemnicze. Na jej pięknym, jasnym czole zdawały się gromadzić chmury, a delikatną postać przebiegało drżenie.

Wszystko to nie mogło ujść uwagi kompanii. Niezrozumiały smutek narzeczonego mroził ich wesołość, więcej – udzielał się im. Wymieniali ze sobą szepty i spojrzenia, wzruszali ramionami, powątpiewająco potrząsali głowami. Coraz rzadziej rozbrzmiewała pieśń, coraz rzadziej dawał się słyszeć śmiech, milkły rozmowy, a potem zaczynano snuć straszliwe opowieści i przypominać legendy o nadprzyrodzonych zjawiskach. Jedna okropna historia wywoływała drugą jeszcze okropniejszą, a baron tak przeraził pewną damę, że omal nie wpadła w histerię, gdy opowiadał o upiornym jeźdźcu, który porwał piękną Leonorę. Ta niesamowita opowieść została później



spisana wspaniałym wierszem i teraz czyta ją i wierzy w nią cały świat.

Narzeczoney słuchał tej opowieści z głęboką uwagą. Nie spuszczał oczu z barona, a kiedy opowieść dobiegła końca, zaczął powoli podnosić się z krzesła. Stawał się coraz wyższy i wyższy, aż w półprzymiotnym oczom barona wydał się olbrzymem. Gdy baron skończył opowiadać, narzeczoney wydał ciężkie westchnienie i uroczyście pożegnał się z towarzystwem. Zapanowało zdumienie. Baron był jak rażony gromem.

Co? Chce opuścić zamek w nocy? Dlaczego? Przecież na zamku gotowe wszystko na jego przyjęcie. Jeśli chce odpocząć, niech idzie do komnaty, którą dla niego przygotowano.

Gość ponuro i tajemniczo potrząsnął głową.

– Dzisiejszej nocy w innej komnacie złożyć muszę głowę!

Coś w jego odpowiedzi i w tonie głosu sprawiło, że w baronie serce niemal zamarło. Zebrał wszystkie siły ducha i ponowił gościnne nalegania. Gość w milczeniu, lecz zdecydowanie potrząsał głową po każdej propozycji gospodarza i machając ręką na pożegnanie, powoli wyszedł z hallu. Ciotki dosłownie skamieniały, narzeczonea zwiesiła głowę, łza napłynęła jej do oczu.

Baron podążył za swym gościem na wielki podwórzec zamkowy, gdzie czarny rumak grzebał kopytem ziemię i parskął z niecierpliwości. Kiedy doszli do bramy, której głęboka wnęka słabo była oświetlona blaskiem pochodni, gość zatrzymał się i

przemówił grobowym głosem, któremu sklepione mury nadawały jeszcze bardziej głębokie brzmienie.

– Teraz, kiedy jesteśmy sami – rzekł – czas wyjawić powód mego wyjazdu. Mam naznaczone spotkanie, którego nie da się odłożyć...

– Ale dlaczego – przerwał baron – nie możesz posłać kogoś w zastępstwie?

– Nie może być zastępcy... muszę przyjść osobiście... muszę jechać do katedry w Wartburgu...

– Ach, tak – odparł baron, zdobywając się na odwagę – ale dopiero jutro. Jutro zawieziesz tam swoją narzeczoną.

– Nie, nie – odparł nieznajomy, jeszcze bardziej uroczyście – nie jadę spotkać się z narzeczoną... Robaki... robaki mnie oczekują. Jestem umarły! Zabili mnie zbójcy... ciało moje spoczywa w katedrze... O północy mają mnie pochować. Grób na mnie czeka... Muszę się stawić, muszę się stawić.

Skoczył na rumaka, przemknął po moście – tętent kopyt rozplątał się w poświacie nocnej wichury.

W najwyższej konsternacji powrócił baron do sieni i zdał sprawę z tego, co zaszło. Dwie panie z miejsca zemdłały; innym zrobiło się niedobrze na myśl, że ucztowały z upiorem. Niektórzy sądzą, że to musiał być leśny starzec, sławiony przez niemieckie legendy. Niektórzy wspominali o duchach gór, o leśnych demonach i innych nadprzyrodzonych istotach, które od niepamiętnych czasów dręczą lud Germanii. Jeden z biednych krewnych ośmielił się napomknąć, że może temu młodemu kawalerowi zachciało się po prostu

spłatać figla, bo tak ponury dowcip licowałały doskonale z tą ponurą osobą.

Słowa te wywołały oburzenie całego towarzystwa, a zwłaszcza barona, który spojrział na mówiącego jak na heretyka, tak że tamtemu pozostało tylko odwołać jak najspieszniej swą herezję i powrócić na łono prawdziwej wiary.

Ale następnego dnia kres tym wszystkim wątpliwościom położyło przybycie wysłańców, którzy potwierdzili wiadomość o zamordowaniu młodego hrabiego i o jego pogrzebie w wartburskiej katedrze.

Łatwo można sobie wyobrazić przerażenie na zamku. Baron zamknął się w swej komnacie. Goście, którzy przybyli, by dzielić z nim jego radość, nie mogli nawet pomyśleć o tym, by go opuścić w niedoli. Chodzili po zamku albo zbierali się grupkami w hallu, potrząsając głowami lub wzruszając ramionami nad nieszczęściem tak zacnego człowieka i dłużej niż zwykle przesiadywali przy stole, więcej niż zwykle pili i jedli, chcąc pokrzepić ducha w tym zmartwieniu. Ale najżałośniejszą była dola owdowiałej panny młodej. Stracić męża, nim go nawet objęła w uścisku! I to takiego męża! Skoro upiór był tak szlachetny i pełen wdzięku, czymże musiał być żyjący człowiek! Po całym zamku rozbrzmiewały jej lamenty.

Wieczorem drugiego dnia swego wdowieństwa udała się na spoczynek do sypialni w towarzystwie jednej z ciotek, która nie chciała pozostawić jej samej na noc. Ciotce tej mało kto w całej Germanii mógł sprostać w opowiadaniu historii o duchach. Owego

wieczoru zabrała się do najdłuższej z całego swego repertuaru i zasnęła w trakcie opowiadania.

Komnata znajdowała się z dala od innych, a jej okna wychodziły na niewielki ogród. Dziewczyna w zadumie patrzyła na promienie księżycowe, drżące na liściach osiki przed jej oknem. Zegar zamkowy wydzwaniał właśnie północ, kiedy z ogrodu dobiegły ją ciche tony muzyki. Zerwała się z łóżka i cicho podeszła do okna. Wśród cieni drzew stał ktoś wysoki, a kiedy podniósł głowę, promień księżycyca oświetlił twarz.

O nieba! To Upiorny Narzeczony! W tym momencie ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk i w ramiona jej padła ciotka, która zbudzona muzyką, podeszła do okna. Kiedy spojrzała ponownie w ogród, widma już nie było. Z dwu kobiet ciotka bardziej potrzebowała pomocy, gdyż z przerażenia dosłownie odchodziła od zmysłów. Co zaś się tyczy panny, to widok choćby tylko widma jej kochanka mile ją wzruszył. Tkwił w nim wciąż jeszcze urok pięknego młodzieńca, a choć cień człowieka nie może zaspokoić uczuć spragnionej miłości dziewczyny, to jednak w braku rzeczywistej osoby nawet to stanowi pewną pociechę.

Ciotka oznajmiła, że nigdy więcej nie będzie spała w tym pokoju, a bratanica była w tym wypadku przeciwnego zdania i równie stanowczo oświadczyła, że nie będzie spała w żadnej innej komnacie. W rezultacie więc miała spać sama. Wymogła na ciotce przyrzeczenie, że nie będzie rozpowiadać tej historii, co pozbawiłoby pannę jedynej smutnej przyjemności, jaka jej jeszcze pozostała na tej ziemi, a mianowicie

mieszkania w pokoju, nad którym opiekuńczy cień jej ukochanego trzymał co noc straż.

Nie wiadomo, jak długo zacna stara panna zdołałaby dochować obietnicy, z upodobaniem bowiem rozprawiała o rzeczach cudownych, a co to za triumf pierwszej opowiadać jakąś straszną historię. Wciąż jeszcze podaje się w sąsiedztwie jako pamiętny przykład kobiecej dyskrecji, że dochowała tajemnicy przez cały tydzień, a potem nagle przestało to już być potrzebne, gdyż pewnego poranka dowiedzieli się wszyscy podczas śniadania, że młoda panna zniknęła. Jej pokój był pusty, łóżko nietknięte, okno otwarte, a ptaszek – wyfrunął.

Zdumienie i troskę, z jaką przyjęto tę wiadomość, mogą sobie wyobrazić tylko ci, którym zdarzyło się kiedyś być świadkami poruszenia, jakie nieszczęście wielkiego człowieka wywołuje wśród jego przyjaciół. Kiedy ciotka, którą ta niespodziewana wiadomość pozbawiła na chwilę mowy, załamała ręce i wrzasnęła: „Upiór! Upiór ją porwał!”, wtedy nawet ubodzy krewni przerwali na chwilę swe mozoły przy misie.

Ciotka w paru słowach przedstawiła okropną scenę, jaką oglądała w ogrodzie i zakończyła opowiadanie spostrzeżeniem, że to upiór narzeczonego porwał swą oblubienicę. To straszliwe przypuszczenie wydało się wszystkim obecnym bardzo prawdopodobne, ponieważ takie wypadki zdarzały się w Niemczech niezmiernie często, o czym świadczy wiele wiarygodnych kronik.

W jakiej opłakanej sytuacji znalazł się biedny baron! Serce kochającego ojca i członka wielkiego rodu

Katzenellenbogen pękało z bólu wobec dylematu, przed jakim stanął. Jego jedyna córka została porwana przez upiora do grobu albo też będzie miał za zięcia jakiegoś leśnego demona i być może całą gromadkę gnomów za wnuki.

Zamęt zapanował w jego sercu i w jego zamku. Rozesłał konnych, by przeszukali każdą drogę, każdą ścieżkę, każdą dolinę Odenwaldu. Wciągnął buty, przypasał miecz i miał już dosiąść konia, by udać się samemu na niepewne poszukiwania, gdy przeszkodziło mu w tym niespodziane pojawienie się jakichś przybyszów. Ujrzano zbliżającą się do zamku damę na rumaku, w towarzystwie jeźdźca. Galopem podjechała do bramy, zeskoczyła z konia, padła do nóg barona i objęła jego kolana. To utracona córka i Upiorny Narzeczony! Baron popatrzył na córkę, potem na widmo – własnym oczom nie wierzył. A i wygląd narzeczonego poprawił się znacznie od czasu jego wyprawy w świat duchów. Wspaniały strój podkreślał piękno jego męskiej postaci. Nie był już bladym ani smutnym. W pięknej twarzy płonął żar młodości, z wielkich, czarnych oczu tryskała radość.

Wkrótce wyjaśniła się zagadka. Młodzieniec (bo przecież domyślacie się chyba wszyscy, że nie był to żaden upiór!) przedstawił się jako Herman von Starkenfaust.

Opowiedział o swym spotkaniu z młodym hrabią, o tym, jak śpieszył do zamku jako zwiastun niepożądanego nowiny, i jak elokwencja barona udaremniała mu wszelkie próby przedstawienia tego, co zaszło.

Powiedział, że młoda panna oczarowała go z miejsca i chcąc spędzić choć parę godzin w jej towarzystwie, nie wyprowadzał ich z błędu. Że biedził się nad tym, jak się wycofać z honorem, aż barona opowieści o duchach podsunęły mu pomysł niezwykłego pożegnania. Że obawiając się zadawnionej wrogości dwóch rodzin, powtarzał swe wizyty ukradkiem, nawiedzał ogród, wyczekując pod oknem panny i starając się zdobyć jej miłość. Wreszcie zdobył ją, uniósł w triumfie uwielbianą i poślubił.

We wszystkich innych okolicznościach baron pozostałby nieugięty, bardzo bowiem był czuły, gdy w grę wchodził autorytet ojcowski i ze świętym uporem prowadził rodowe waśnie. Stary baron kochał jednak córkę, a opłakawszy jej stratę, ucieszył się, że odnalazł ją żywą i chociaż jej mąż należał do wrogiego rodu, przecie, Bogu dzięki, nie był upiorem. Trzeba wprawdzie przyznać, że w figlu, jaki mu spłatał rycerz, podając się za ducha, było coś, co niezupełnie godziło się z jego pojęciem prawdomówności, ale kilku przyjaciół barona, obecnych w tym momencie, zapewniało go, że w miłości wszelkie fortele są dopuszczalne i że kawaler zasługuje na specjalne przywileje, ponieważ ostatnio służył w wojsku.

Tak więc sprawa ułożyła się pomyślnie. Baron od razu przebaczył młodej parze. Wesele na zamku rozpoczęło się na nowo. Ubodzy krewni podbijali nowego członka rodziny serdeczną miłością, był to bowiem tak rycerski kawaler, tak szlachetny i... tak bogaty! Ciotki, to prawda, były trochę urażone, że ich

system surowego odosobnienia i bezwzględnego posłuszeństwa wydał takie złe owoce, ale przypisały to wszystko temu, że zapomniały okratować okna. Jedną z nich szczególnie dręczyło to, że jej cudowna opowieść została zniweczona i że jedyny upiór, jakiego kiedykolwiek widziała, nie był prawdziwym upiorem. Bratanica jednakże wydawała się bardzo zadowolona z tego, że okazał się młodzieńcem z krwi i kości – i na tym koniec naszej opowieści.



Washington Irving  
*Upiorny narzeczony*  
Tytuł oryginału:  
*The Specter Bridegroom*

Redakcja: *Anna Ołdak*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

FUNDACJA FESTINA LENTE  
Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-385-9

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)